

# Bankructwo projektu restauracji

Teks **RZECZY  
WSPOLNE** t ukazał się w nr. 5 "Rzeczy Wspólnych"

## W obecnej sytuacji Polski konserwacja oznacza degradację

W obecnej sytuacji Polski konserwacja oznacza degradację. Polityka restauracji, prowadzona przez rząd Tuska, jest jednocześnie racjonalna z punktu widzenia dominujących grup interesu i irracjonalna z perspektywy dobra wspólnego. Odsłania więc silną wewnętrzną sprzeczność III RP i zapowiada jej upadek.

Kiedy po dwóch latach politycznej szamotaniny w 2007 roku PiS odszedł od władzy, wielu architektów i zwolenników projektu IV Rzeczypospolitej nie straciło jeszcze nadziei. Wydawało się oczywiste, że nie ma prostego powrotu do przeszłości. Nie po ujawnieniu tych wszystkich afer, odsłaniających prywatę, korupcję i cynizm na szczytach władzy. Nie po tych wszystkich książkach, tekstach i seminariach, które zdiagnozowały niezdolność państwa do prowadzenia poważnej polityki. Rząd Donalda Tuska zdawał się być skazany na jakąś formę kontynuacji dzieła poprzedników i wielu dawnych orędowników IV RP sądziło nawet, że będzie w stanie zbudować ją sprawniej.

PO wybrała jednak drogę restauracji. Korzystając z olbrzymiej przewagi zasobów po stronie – skonsolidowanego bojami z PiS-em – frontu zwolenników status quo ante i postpolitycznego nastroju większości, skupiła się na „normalizacji”, polegającej na wygodnym rozgoszczeniu się u władzy i rezygnacji z jakichkolwiek ambitnych projektów. Jakby nigdy nie była partią IV RP, radykalnie krytyczną wobec gangsterskiego kapitalizmu i zdegradowanej polityki, tylko ekspozyturą okrągłostołowego establishmentu, bajającego o ostatnim dwudziestolecu jako „największym sukcesie w historii Polski”.

### **Potrójne zepsucie**

W efekcie obrania tej ścieżki państwo polskie ulega potrójnemu zepsuciu. Z jednej strony, tonie w nierządności, potykając się o coraz drobniejsze przedsięwzięcia w rodzaju nowego rozkładu jazdy pociągów. Nieudolne próby odsunięcia scenariusza greckiego skutkują

kreatywną księgowością na bezprecedensową skalę (w ciągu dekady rząd zamierza ukryć w Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, Krajowym Funduszu Drogowym i Banku Gospodarstwa Krajowego ponad 300 mld zł), pośpieszną prywatyzacją (np. groźba wrogiego przejęcia Grupy Lotos, a w konsekwencji także i PKN Orlen przez Kreml) i desperackimi cieżkami w stylu bankrutującego przedsiębiorstwa.

Widzimy więc upadek jakości usług publicznych: znikają lokalne połączenia transportowe, placówki służby zdrowia, szkoły, komisariaty, co grozi zapaścią prowincji, a w dalszej perspektywie także zależnych od niej metropolii. Permiaywno-neoliberalny kurs w oświacie zredukował licea do poziomu niskiej jakości ośrodków masowego przygotowania do matury. Uczelnie dostaną więc jeszcze słabszych studentów i będą wypuszczać jeszcze bardziej niekompetentnych absolwentów, w efekcie czego spadną poziom wiedzy i kultury, wydajność pracy, a wzrosną strukturalne bezrobocie i, być może, emigracja.

Za likwidacją poboru do wojska nie poszła profesjonalizacja, w efekcie czego mamy armię zdolną do obrony niecałych 4 proc. terytorium, a więc nadającą się wyłącznie do misji zagranicznych, z których jednak rząd sukcesywnie rezygnuje. Polityka zagraniczna sprowadza się do kolejnych „ofensyw uśmiechu”, czyli klienckich gestów, za którymi – wbrew pozorom – idą poważne skutki. Dobrowolnie rezygnujemy z załączków podmiotowości, czego najwidoczniejszymi znakami są: rezygnacja z niestałego członkostwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, oddanie Rosji śledztwa smoleńskiego i rządowa propozycja zmiany konstytucji, mająca ułatwić zrzekanie się kompetencji państwa w UE.

Zatem plaga współczesnej Polski, którą Jerzy Hausner i Mirosława Marody nazwali instytucjonalizacją nieodpowiedzialności, pod rządami PO zbiera rekordowe żniwo.

Z drugiej strony, państwo się rozrasta. Liczba urzędników przekroczyła 500 tysięcy, a w tzw. sektorze publicznym pracuje więcej niż co czwarty zatrudniony – w sumie ok. 4,5 miliona ludzi. Za coraz gorsze państwo płacimy coraz więcej – już 52 proc. (!) naszych dochodów (Amerykanie – 23,6 proc.). Jednocześnie, państwo coraz szerzej i głębiej ingeruje w życie Polaków. Jesteśmy na pierwszym miejscu w UE pod względem liczby wniosków o udostępnienie danych o abonentach (1,3 mln, wzrost o 300 tys. w zeszłym roku) składanych przez służby specjalne w firmach telekomunikacyjnych. Rząd coraz śmieiej wkracza w sprawy dotychczas uznawane za domenę prywatności, jak rodzina czy orientacja seksualna.

Trzecia plaga to upadek debaty publicznej. Polska demokracja nigdy jeszcze nie była tak fasadowa jak obecnie. Postpolityczna teatralizacja skrywa realną politykę przed oczami obywateli skuteczniej niż kiedykolwiek – żadna z istotnych decyzji leżących u podstaw powyższych zjawisk nie była poprzedzona poważną debatą. Wielomiliardowe afery nie są drażnione ani przez największe media, skupione na rozliczaniu opozycji, ani przez prokuraturę, co tworzy klimat przyzwolenia dla zinstytucjonalizowanej korupcji – i arogancji władzy. Ta ostatnia skutkuje coraz częstszym naruszaniem wolności obywatelskich – od internetu po stadiony. Obserwujemy więc dość zdumiewającą – i katastrofalną w skutkach – próbę powrotu do przeszłości. Co się za nią kryje?

## **Strażnicy status quo**

Analizując naturę PO jako zwornika interesów, które legły u podstaw jej powstania – w tym tej części służb specjalnych, która od początku transformacji w prawicy widziała gwarantkę swoich interesów – Rafał Matyja doszedł do przekonującego wniosku, że podstawową funkcją partii Tuska jest stanie na straży układu sił, który decyduje o kształcie III RP. W chwili powstania – co potwierdzały wielokrotnie słowa Tuska z początku poprzedniej dekady – PO miała być przede wszystkim „skutecznym przeciwnikiem SLD, zdolnym do odebrania mu głosów i pozbawienia bezwzględnej większości w Sejmie”. Później jej tożsamość ewoluowała: po „wybuchu sprawy Rywina SLD przestało być najgroźniejszym przeciwnikiem tej formacji. Najpierw stała się nim – na krótko – Samoobrona, a potem – na długo – Prawo i Sprawiedliwość”.

Tak więc „strategii PO nie wyznacza – jak to ma miejsce w klasycznych modelach politologicznych – interes partii, jej ideowa pozycja czy oczekiwania wyborców, ale właśnie funkcja tej partii, polegająca na paraliżowaniu polityki stanowiącej zagrożenie dla status quo (...) PO jest swego rodzaju sytuacyjnym konserwatyzmem Trzeciej Rzeczypospolitej, strzegącej istniejące status quo zarówno przed zagrożeniem oligarchicznym (ze strony SLD), jak i egalitarnym (ze strony PiS, LPR i Samoobrony)”.

Diagnoza Matyi wyjaśnia, dlaczego, mimo zebrania ogromnej władzy i potężnych sojuszników, Tusk skupił się na prostej restauracji. Jego rekordowe poparcie jest bowiem w obecnym układzie sił po prostu

funkcją powstrzymywania przez niego systemowych zmian. Historia ostatniej dekady uczy, że ów układ jest wystarczająco silny, aby zablokować każdą znaczącą próbę naruszenia go.

Najpierw przekonał się o tym Leszek Miller, kiedy spróbował zwasalizować postsolidarnościową część porozumienia okrągłostołowego i zapewnić swojej formacji trwałą hegemonię. Z kolei w latach 2005-2007 własnej niemocy politycznej doświadczyli bracia Kaczyńscy, po przejściu do opozycji napiętnowani i poddani przemocy symbolicznej mającej uczynić z ich obozu wieczną opozycję. System wyraźnie nagradza strażników status quo, czego dowodem niezwykle stabilne poparcie dla Tuska, pomimo skrajnie nieudolnych rządów.

## **Dwie transformacje**

Coraz fatalniejsze skutki tego stanu rzeczy każą zadać pytanie o racjonalność systemu, który je wywołuje i wspiera. Jest to pytanie o naturę III Rzeczypospolitej.

Formalnie Polska jest republiką, której głównym celem jest transformacja polityczna – z totalitaryzmu w demokrację liberalną, i gospodarcza – z socjalizmu w kapitalizm. To jednak tylko Hegłowski pozór. W istocie, jak zauważył Zdzisław Krasnodębski, mieliśmy dwie transformacje. Pod powierzchnią tej oficjalnej dokonana się „druga – ukryta, którą była lokalna modyfikacja i ukonkretnienie (interpretacja) nowych instytucji i reguł, by jak najlepiej służyły przetransformowanym elitom komunistycznym i dokooptowanym do nich segmentom dawnej elity opozycyjnej”. W wymiarze politycznym chodziło z jednej strony o dostarczenie dawnej PZPR legitymacji do pełnoprawnego uczestnictwa w nowej rywalizacji, z drugiej zaś, o

przyznanie postsolidarnościowej lewicy laickiej „rządu dusz” i statusu dysponenta prawomocności w zmienionych realiach. Stabilności układu sprzyjał sposób konstrukcji reguł gry gospodarczej – z uwłaszczeniem nomenklatury jako „ceną za bezkrwawy charakter przemian”, czyli zamianą przez niedawnych komunistów władzy politycznej na ekonomiczną, co dało im przecież także poważne atuty w rywalizacji partyjnej.

Pierwszą i zasadniczą wewnętrzną sprzecznością – by ponownie posłużyć się kategorią Heglowską – III RP jest więc skrzyżowanie dwóch logik: kontynuacji i rewolucji. Skutkiem jest nie tylko niespójność symboliczna, aksjologiczna i kulturowa, ale też – jak zauważył Andrzej Zybertowicz – konflikt interesów o charakterze strukturalnym. Czyli sytuacja, w której członkowie organizacji znajdujący się w sytuacji co najmniej podwójnej lojalności wywierają, dzięki swojej liczebności lub umiejscowieniu w hierarchii, trwały wpływ powodujący, że organizacja funkcjonuje w sposób różny od jej oficjalnej misji.

W przypadku państwa polskiego dotyczy to – jak wykazał Zybertowicz – strategicznych dla niego instytucji: rządu, parlamentu, tajnych służb, prokuratury, policji, sądownictwa, mediów publicznych, ze względu na uwikłanie ich członków w zależności PRL-owskie, często silniejsze od formalno-służbowych. W tym świetle należy widzieć niezdolność państwa do realizacji kluczowych reform zgodnych z jego oficjalną misją, jak lustracji (agenturalna przeszłość wielu posłów czy sędziów, także Trybunału Konstytucyjnego) czy reprivatyzacji (brak zainteresowania polityków postkomunistycznych „pełnym” kapitalizmem, wbrew deklaracjom). Stąd teza Zybertowicza o strukturalnym konflikcie interesów jako fundamencie III RP.

## Niewidzialny hegemon

Konflikt ten nie dotyczy jednak tylko komunistycznej przeszłości. Polskim analitykom umyka często inny kluczowy wymiar transformacji, opisany przez Jadwigę Staniszkis, jakim jest władza globalizacji, czyli bezosobowego i bezpodmiotowego procesu, który sprzyja jednak przede wszystkim światowym centrom. Peryferyjnym krajom postkomunistycznym wyznacza natomiast podrzędną rolę przede wszystkim rynków zbytu i konsumentów, narzucając im, jak to nazywa Staniszkis, „asymetrię racjonalności”, czyli rozwiązania właściwe dla innej fazy rozwoju. Inaczej mówiąc, o ile liberalizacja rynków finansowych czy znoszenie ceł są racjonalne dla Stanów Zjednoczonych czy Francji, które proces budowania narodowych gospodarek, z silną rodzimą produkcją i ośrodkami innowacyjności mają dawno za sobą, to dla Polski albo Węgier początku lat 90. takie rozwiązania są antyrozwojowe, uniemożliwiając im stworzenie łańdów gospodarczych będących ich dobrami wspólnymi.

Dlaczego państwa dawnego bloku sowieckiego dobrowolnie przystały na takie rozwiązania? W dużej mierze z powodu ignorancji (ze szczególną rolą prostackiego neoliberalizmu), ale przede wszystkim ze względu na prywatne motywacje kompradorskich, postkomunistycznych elit, zainteresowanych objęciem intratnych i mało odpowiedzialnych zarazem funkcji pośredników w krajowej ekspansji umiędzynarodowionego kapitału, a następnie namiestników lokalnych systemów finansowych.

Efektem jest „niekompletność”, jak mówi Staniszkis, postkomunistycznego kapitalizmu. Nie oznacza ona tylko zwykłego opóźnienia w rozwoju – to przede wszystkim skazanie kraju na podrzędną funkcję w międzynarodowym obrocie gospodarczym i poddanie lokalnej finansjery logice globalizacji, a nie narodowego interesu. Ostatnio widzimy to pod postacią nacisków lobby finansowego na wejście Polski (w innych krajach regionu jest podobnie) do strefy euro, mimo iż nie należymy do Optymalnego Obszaru Walutowego (Optimal Currency Area), co według twórców unii walutowej miało być warunkiem sine qua non członkostwa w niej. Z punktu widzenia działającej według innej, globalnej racjonalności finansjery byłoby to korzystne, w przeciwieństwie do rozwoju gospodarczego Polski jako całości. Bo zostałaby ona zakłócona m.in. przez utratę możliwości reagowania na kryzysy za pomocą polityki pieniężnej i w wyniku tzw. wstrząsów asymetrycznych (asymmetric shocks).

Bezradność wobec władzy globalizacji zaowocowała błędną ścieżką rozwoju, opartą na zużywaniu strategicznych zasobów (jak majątek narodowy) dla podbicia wskaźników wzrostu i łatania dziury budżetowej, rozmyślnej likwidacji przemysłu, nadmiernej koncentracji na konsumpcji i lekceważeniu produkcji. Rezerwy takiego „rozwoju zależnego” szybko się wyczerpują, skutkując głębokimi kryzysami i pogłębianiem nierównowagi budżetowej. Pierwszy głęboki kryzys z tym związany przeszliśmy na przełomie wieków, dziś żyjemy natomiast w iluzji „gonienia Zachodu” w dużej mierze dzięki uruchomieniu kolejnej, chyba ostatniej sprężyny prostego wzrostu, związanej z wejściem do UE. Jednocześnie, modernizacja tego typu obarczona jest bardzo wysokimi kosztami wyjścia, co prowadzi do tyranii peryferyjnego status quo.

Ma to zasadnicze skutki polityczne i kulturowe. Istnienie w jednym kraju potężnych lobbies kierujących się różnymi racjonalnościami powoduje chaos i nierządność. Bardzo trudne – jeśli nie niemożliwe – staje się uzyskanie samoświadomości i wypracowanie spójnej koncepcji dobra wspólnego. Pojawiają się zatem tendencje do rozwikłania wewnętrznej sprzeczności poprzez wyrzeczenie się własnej tożsamości i włączenie w obręb większego organizmu jako już nie system, ale podsystem. Stąd także pochodzi jednostronność i uporczywość polskich elit, niespotykana u ich zachodnich odpowiedników, w wierze w iluzję rychłego „końca historii” i powstania narodu europejskiego.

### **Tyrania biurokracji**

III RP, mimo swojej nierządności i słabości, jest jednocześnie państwem monstrualnym. Olbrzymi sektor „publiczny” (ósmie miejsce w świecie pod względem udziału zatrudnionych w nim we wszystkich miejscach pracy!), większy niż w zachodnioeuropejskich welfare states, nie spełnia przy tym swoich podstawowych funkcji, z którymi radzą sobie znacznie mniejsze sektory publiczne w wielu innych krajach, od Wielkiej Brytanii po Koreę Południową.

W nikłym stopniu rekompensuje niedoskonałości rynku, w znacznym – choćby poprzez nadmiar regulacji i opresyjność instytucji kontrolnych – pogłębia je. Nie zapewnia polityce należytego zaplecza intelektualnego i kadrowego, ani nie gospodaruje racjonalnie dobrami publicznymi, przeciwnie: jest domeną patologicznej „karuzeli stanowisk”, klientelizmu i kapitalizmu politycznego. Nie prowadzi racjonalnej redystrybucji – pomoc socjalna jest rachityczna i

niewłaściwie ukierunkowana, jest natomiast wielkim zagłębieniem ukrytego bezrobocia. Jediną funkcją, z której wywiązuje się przyzwoicie, wydaje się stabilizacja podczas kryzysów finansowych, amortyzująca zewnętrzne impulsy szokowe. Nie rekompensuje to jednak gigantycznych kosztów jego utrzymania.

Patologiczny sektor „publiczny” pochłania bowiem przeszło pięćdziesiąt miliardów złotych rocznie, generując dużą część długu publicznego, którego obsługa pochłania kolejnych 35 miliardów. Należałoby dodać do tego kosztujące jeszcze więcej Otwarte Fundusze Emerytalne, które są wydzielonym z sektora prywatnym oligopolem finansowym, uwłaszczonym na emeryturach Polaków. OFE, biurokracja i obsługa długu – a więc wydatki dalekie od rozwojowych – pochłaniają dwie trzecie wpływów z danin państwowych.

Szeroko rozumiana biurokracja polska żyje własnym życiem, czego skutkiem są m.in. wspomniane już: nadregulacja i infiltracja. Jest jak na razie właściwie poza kontrolą polityczną, skutecznie broniąc się przed poważniejszymi próbami redukcji, w czym sekunduje jej stojący na gruncie doktryny praw nabytych Trybunał Konstytucyjny. Jeśliby szukać przykładów Tocqueville’owskiej cichej, demokratycznej tyranii, zmieniającej obywateli w klientów i niszczącej wspólnotę, to polski sektor pseudopubliczny nadaje się tu idealnie. Nawet z czysto ekonomicznego punktu widzenia jest on konglomeratem antyrozwojowych grup interesu, wpędzającym Polskę coraz szybciej w spiralę zadłużenia, czyli na drogę bankructwa. Ze wszystkimi tego politycznymi (przykład Grecji, której proponuje się pomoc w zamian za podmiotowość, jest tu pouczający) konsekwencjami. Jest on kolejnym podmiotem strukturalnego konfliktu interesów.

### III RP, czyli Chimera

Nawet tak punktowa i pobieżna analiza pokazuje, że państwo polskie nie jest „dobrem wspólnym wszystkich obywateli”, czyli rzecząpospolitą. To państwo zawłaszczone (captured state) przez partykularyzmy, twór, który trudno nawet rozpatrywać w kategoriach spójnej całości. W dużej mierze rację ma Staniszkis, gdy mówi, że „państwo okazuje się fikcją, a rządzenie sprowadza się do zabiegów utrudniających ujawnienie tego faktu”.

Odpowiadając na wcześniejsze pytanie: jeśli można w ogóle mówić o racjonalności III RP, to jest ona wypadkową pasożytujących na państwie grup interesu. Państwo jest sieciowe (network state) w negatywnym tego słowa znaczeniu, ma bowiem bardzo niewielką władzę nad samym sobą, ulega dryfowi wyznaczanemu przez rozproszone, coraz bardziej autonomizujące się ośrodki kontroli o własnej logice. Ów dryf jest – z perspektywy całości – grą o sumie ujemnej, pogłębiającej nierządność i opresyjność państwa oraz fasadowość polityki. Jeśli więc poważnie traktować pierwszy artykuł polskiej konstytucji, to należałoby powiedzieć, że racjonalnością III RP jest... irracjonalność. Państwo polskie jest jak mityczna, złożona z fragmentów różnych zwierząt Chimera – jednocześnie groźne i groteskowe.

W tej sytuacji, konserwacja oznacza degradację. Polityka restauracji, prowadzona przez rząd Tuska, jest jednocześnie racjonalna z punktu widzenia dominujących grup interesu i irracjonalna z perspektywy dobra wspólnego. Odślania więc silną wewnętrzną sprzeczność III RP i zapowiada jej upadek.

Do repertuaru specyficznej głupoty wielu zwolenników restauracji, członków zdegenerowanej arystokracji, należy wiara w możliwość prostego powrotu do przeszłości. Gdy zasztyletowane ciało Gajusza Juliusza Cezara spoczęło na posadzce rzymskiego Senatu, „obrońcy republiki” sądzili, że wszystko wróciło do normy. W końcu zabili tyrana. Człowieka, który w ich mniemaniu odpowiadał za kryzys państwa. Oczekiwali więc, że teraz wrócą dawne czasy.

Ich bezmyślność polegała na tym, że widzieli w Cezarze jedynie opętaną żądzą władzy jednostkę, pomijając najważniejsze: że był reprezentantem potężnego procesu i silnej społecznej potrzeby zbudowania nowego państwa w miejsce starej, zmurszałej fasady, którą była ich republika. Była ona fikcją, ponieważ opierała się na pustych rytuałach, dawno wyzutych z treści, o której pisał Ciceron.

Organizowane w mieście wybory wykluczały z udziału w nich nawet obywatele mieszkających w nieodległych wsiach, o rozproszonych po całym, olbrzymim państwie nie wspominając, i były nagminnie fałszowane. Państwo dawno przestało być szlacheckim ustrojem mieszanym, bo faktyczne rządy sprawowały trójgłowe oligarchie triumwirów, a zasiadająca w Senacie dawna reprezentacja polityczna przekształciła się w zdegenerowaną arystokrację krwi, dbającą głównie o swoje prywatne interesy.

Republika była więc tylko słowem, jak mówił Cezar, pustym sloganem, który jednak Brutus czy Cymber traktowali z tragikomiczną powagą. Byli, mimo swojej ślepoty, na tyle wpływowi, aby na jakiś czas przedłużyć życie iluzji starego ładu, co nawet im na niewiele się zdało – zginęli wszak wkrótce z rąk sukcesorów Cezara.

Analogia z dzisiejszą Polską polega na tym, że i my mamy zdegenerowane elity, usiłujące za wszelką cenę, w źle pojętym własnym interesie podtrzymać pseudorepublikańską fikcję, zza której wyzierają wewnętrzna sprzeczność i brak sensownej wizji wspólnej przyszłości. Najważniejsza różnica polega na tym, że Rzym był w owym niespokojnym wewnętrznie okresie wielką, niezagrożoną przez nikogo potęgą, a my mieszkamy w postkolonialnym i półkolonialnym, choć mającym olbrzymi potencjał kraju, do „opieki” nad którym w ciągu ostatnich 300 lat chętnych nie brakowało – i nadal nie brakuje.

### **W stronę nowego państwa**

Potrzebujemy więc polskiego Bellerofonta, pogromcy Chimery. Nie da się jej opanować, bo każdorazowa próba wniknięcia w jej struktury prowadzi nieuchronnie do przeniesienia ich patologii do struktur wnikających, co potwierdzają doświadczenia kolejnych partii władzy, z obecną na czele. Chimerę trzeba pokonać. I zbudować republikę. Wymaga to, po pierwsze, nowej koncepcji państwa minimum, unikającej błędów poprzednich i przywracającej państwu rolę reprezentacji politycznej, a obywatelom – wolność rozumianą jako swobodę wyboru drogi wiodącej do dobra wspólnego. Po drugie, unifikującej wizji przyszłości (poprzedzonej zrozumieniem przeszłości) i wyrażającego ją języka, zbierających zatomizowaną zbiorowość bez celu, jaką są dziś Polacy, w naród polityczny. Bez tego nie będzie możliwa znaczna mobilizacja obywatelska, która wydaje się niezbędną dla radykalnej przebudowy państwa.

Dziś tego nie mamy. Musimy więc bardzo dobrze wykorzystać czas, jaki pozostał do bankructwa projektu restauracji.

*Bartłomiej Radziejewski*